

Anna Nasiłowska

Duch Straconego Czasu (albo katalog dziwnych zwierząt)

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4, 121-128

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Glosy

Duch Straconego Czasu (albo katalog dziwnych zwierząt)

Gazetę czytać można różnie, kiedyś mówiło się, że należy zaczynać od ogłoszeń i nekrologów, gdyż są to jedyne rubryki zawierające na pewno informacje prawdziwe. Nie ma to jednak aż takiego znaczenia, glód informacji rozwija się zupełnie niezależnie od rzeczywistej wartości a także potrzeby ich posiadania i możliwości posłużenia się nimi do jakichś konkretnych, ściśle określonych celów, inaczej bowiem nikomu nie przyszłoby do głowy, że można z wyczytywania płachty marnie zadrukowanego papieru czerpać nawet swoistą przyjemność. Oczywiście komunikat ma pewną — większą czy mniejszą wartość relacjonującą, przyjemność czytania gazety opiera się jednak na czymś bardziej elementarnym — satysfakcji z kontaktu z jakąś realnością. Niektórzy zresztą czerpią równie autoteliczną przyjemność z innych czynności — jak wyglądanie oknem w celu zbadania, jacyż to ludzie chodzą po ulicy i właśnie to ma dla nich podstawowe znaczenie. Chodzi w tym wszystkim, jak przypuszczam, o pewien nawyk informacyjny, dopuszczanie do pamięci chwilowej dużej ilości danych, bez potrzeby zapamiętywania ich na dłużej.

Czytanie gazety może nawet stać się nalogiem związanym z pewnymi sytuacjami: jazdą pociągiem czy śniadaniem i tym też tłumaczę fakt, że sukces akcji bojkotu prasy był zwykle połowiczny, nie większy jak „Dnia bez papierosa”. Sytuacja polskiego nalogowca, przyzwyczajonego do codziennej gazetowej strawy była w latach osiemdziesiątych dość kłopotliwa.

Cała sfera informacji politycznej i gospodarczej była tak skonstruowana, że wydawało się, iż nie dzieje się zupełnie nic. Wydzielenie właściwych danych z dziennikarskiego mętnej sosu, w którym się topiły, wymagało dość skomplikowanych operacji interpretacyjnych i grzebania w czymś odstręczającym. To było naprawdę trudne zadanie — odnaleźć, choćby skromny, konkret, który krył się na przykład pod hasłem „Ruch w postępie technicznym”¹ czy też „Umocnienie ożywienia”. Ten gatunek artykułów o nieokreślonej zawartości, wyróżnianych zwykle wielką czcionką w tytule i honorowym miejscem pod winiętą, przeważnie wcale nie nadawał się do użytku, nie mówiąc już o czerpaniu satysfakcji przy porannej kawie, której smak mógł zepsuć. Coś to było, co się „czytało” raz na jakiś czas, dla zorientowania się w tej chwili władza uznaje za pożądany u pr;

Głód informacji musiał być zaspokojony. W poetyce gazet codziennych dystans między informacją czystą, opartą na klasycznych regułach: co? gdzie? i kiedy?, a nieczystą — czyli wplecioną między dydaktyczne sekwencje i wyposażoną w moral polityczny — stał się wyjątkowo wyraźny. Domeną tego pierwszego typu były wiadomości sportowe i sensacje z szerokiego świata, tego drugiego — informacja przede wszystkim krajowa. Doszło nawet do tego, że skądinąd szacowne organy, nie pozbawione jednak ambicji kontaktu z czytelnikami zaczęły doceniać coraz bardziej bulwarowe sensacje, niezwykle rekordy i cudowne przypadki o szczęśliwych lub nieszczęśliwych skutkach. Czy to „Głos Wybrzeża” czy „Pojezierza”, jakaś „Trybuna” („Opolska”, „Lubelska”, a nawet, o zgrozo! „Ludu”) obok namaszczenia — pogoń za konkretem i to bardzo szczególnego rodzaju, bo przecież wciąż trzeba dowodzić, że gazeta chwyta na bieżąco i opisuje co się dzieje. Gdyby nie nienormalna sytuacja można by przeprowadzić studia nad tym, o jakich dziwnych rzeczach ludzie lubią być informowani. Ponieważ jednak w wielu dziedzinach informowanie bywało trudne, cała sprawa przestawała być niewinna, zaczynała wchodzić w różne konteksty.

Mimo to można pozwolić sobie na kilka obserwacji. Przede wszystkim ludzie lubią być informowani o życiu zwierząt. To, co powiedziałam wcześniej pozwala wykluczyć niskie przypuszczenie, że to dla jakichś konkretnych korzyści lubimy wiedzieć, że na przykład czarny kocur z Sidney jest drugim co do wagi kotem na świecie, waży 22 kilogramy,

¹ „Życie Warszawy”. 5—6 marca 1987. Jednostki innowacyjne po pierwszych miesiącach. Ruch w postępie...

wypija codziennie butelkę śmietany i mleka, zjada paczkę biszkoptów i kilo mięsa². Największy pies na świecie żyje w Londynie³, zaś najmniejsze krowy — w Zimbabwie. Oczywiście informacje te są skrzyżowaniem dwóch zasad: ulubionego tematu z porządkiem wielkości. Dobrze jest bowiem wiedzieć dokładnie, ile czego jest, ile co waży, mierzy i zjada. Wszelkie rekordy podniecają wyobraźnię. Można jednak w odniesieniu do nich sformułować regułę, potwierdzoną wieloletnimi obserwacjami: nie zdarza się, żeby jakies największe, albo choćby najmniejsze zwierzę żyło w Polsce. U nas rodzą się tylko świny o dwóch ryjach, byczki-potwory i tym podobne.

Zwierzęta mają też często związek z niezwykłymi zdarzeniami — zaspokajają więc potrzebę fabuły. Oto na przykład pewna kaczka z pięciorgiem dzieci (poetyka gazety nie znosi niedokładności, musi być powiedziane dokładnie, ile było kaczątek) przechodziła przez autostradę w Berlinie Zachodnim i spowodowała wywrócenie się cysterny z 30 tysiącami litrów oleju opałowego, co pociągnęło za sobą zahamowanie ruchu na tym odcinku autostrady na 8 godzin, utrudnienie żeglugi, pracę kilku brygad i straty na ponad 200 tys. marek⁴. Natomiast do domu państwowego Quoveron na przedmieściach Los Angeles przez komin dostało się około 2000 małych ptaszków o nieustalanej tożsamości, prawdopodobnie w trakcie przelotu wędrownego. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami przez 4 godziny usuwało ptactwo przez drzwi — ale ono tak upodobało sobie dom, że wracało natychmiast kominem. W domu były obecne też dwie papużki i tuzin kurcząt⁵. Pewien mieszkaniec Londynu trzyma rój pszczoł pod łóżkiem, nauczył owady wlatywania i wylatywania przez okno i udowodnił, że współżycie z nimi jest możliwe. Za to pewien żółw w Hongkongu okazał się groźny dla otoczenia, gdyż spadając z okna wielopiętrowego budynku zranił 32-letniego przechodnia⁶. Policja zaaresztowała żółwia, aby wyjaśnić, czy stało się to przypadkiem, czy też miał on takie intencje.

W porównaniu ze zwierzętami rośliny są mniej ciekawe, mogą tylko bić rekordy wielkości. Na przykład pewnien rolnik algierski wyhodował

² „Dziennik Polski”, 2 października 1987, w dziale „redaktor depeşowy podaje”.

³ „Jest to siedmioletni rasowy brytan o wadze 140 kilogramów. Jego długość od głowy do końca ogona wynosi 2,54 m a obwód szyi około 96 cm. (...) Zjada dziennie około 5 kilogramów mięsa wołowego, a do tego biskwity, ząbki czosnku, witaminy i wątróbki z dorsza.” Natomiast „DW — magazyn” z 2—4 października 1987 donosi: „Totore waży już 1 kilogram” (chodzi o ślimaka, który trafił do księgi Guinnessa).

⁴ Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w polskiej prasie. tu opieram się na „Gazecie Robotniczej” z 19 maja 1987.

⁵ „Słowo Polskie”, 5 maja 1987.

⁶ Wiadomość z serwisu PAP.

14-kilogramowego ziemniaka, nie stosując specjalnego nawożenia⁷. Prawdę mówiąc, to zainteresowanie liczbami i miarami wygląda czasem na nadmierne, a nawet przeradza się w jakąś obsesję. Zwierzęta nie są niczemu winne, kategorie: największe, najmniejsze i wyraźna mania wielkości świadczą o całkowicie ludzkim odchyleniu, powszechności dewiacji o łagodnych formach. Najwyraźniej objawia się ona w manii konstruowania ogromnych przedmiotów, przy czym budowanie ich uważam za formę aktywną dewiacji, a gazetowe kibicowanie tej gigantomanii za — nie mniej aktywną — kompensację. Na przykład we Francji zbudowano największe skrzypce, które ważą 600 kg i mają 7,44 m długości⁸. Hiszpański szewc wykonał zaś największe na świecie buty męskie o długości 130 cm i wadze 75 kg. Pytanie — po co? uważam w tym wypadku za naiwne i banalne, oczywiście po to — aby napisali o nim w gazecie. Poważniejszy wydaje mi się problem, że ludzie chcą pisać i czytać właśnie o tym, jak również, że w polskiej prasie był to długo prawie jedyny gatunek, w którym informację ceniono dla samej informacji, bez potrzeby wpisywania jej w zaplanowaną z góry wizję świata. I na dodatek te wyskoki o wyraźnych cechach psychotycznych zaczynały w jakiś sposób tworzyć kontrpropozycję, konkurencję do tego, co potocznie nazywane było paranoją, oczywiście nieścisłe, ale nie bezpodstawnie. Słowo to, wypowiedane również nieprawidłowo, z długim (obrazującym rozmiar zjawiska) pierwszym „a” i przesuniętym na czwartą sylabę od końca akcentem, od lat służyło jako określenie ogólnej sytuacji polskiego życia. Potoczna diagnoza kładła więc szczególny nacisk na zaburzenia normalnej, reprezentowanej przez świadomość potoczną, logiki. A więc: są telefony, ale nie działają, są przedsiębiorstwa, ale nie produkują i nie przynoszą zysków, są wreszcie gazety — ale nie informują.

Mamy więc do czynienia z dwoma rodzajami odchylen: ogólną „paranoją”, która rozwija się i odzwierciedla przede wszystkim w dziale (dez) informacji krajowej oraz nie mniej psychotyczną manią w dziale informacji sensacyjnej, objawiającą się najwyraźniej w stosunku do zwierząt i liczb. Najbardziej interesujące wydaje się jednak to, że oba te zjawiska, występujące obok siebie na jednej gazetowej szpalcie, sąsiadując ze sobą zaczynały interferować — prowadząc do efektów jeszcze bardziej dziwnych. Oto na przykład pewna część wiadomości sensacyjnych dawała się czytać jako krypto- czy też aluzyjnie polityczne — jak taka, że w Moskwie, bez wyraźnej

⁷ „Słowo Polskie”, 3 lutego 1987.

⁸ Można tu też dodać placek-potwór, usmażony przez szefa hoteli w Cheltenham w zachodniej Anglii. Naleśnik miał 7.6 m średnicy.

przyczyny, pojawiła się gęsta mgła, która na trzy dni całkowicie zasnuła Plac Czerwony⁹. Albo też notatka z maja 1987: „W roku ubiegłym na przedmieściach Władywostoku złapano 6 tygrysów ussuryjskich, podczas gdy w roku bieżącym 7”.¹⁰

Z kolei pewne sygnały w informacji i publicystyce krajowej można było interpretować w duchu sensacji, jak na przykład tytuł artykułu o konieczności wzięcia się do roboty „Z próżnego i Salomon nie należy a coś dopiero Polacy”, albo jeszcze lepiej — „Można nalać i z próżnego, jeżeli się pomyśli”.

Na jednej stronie poważnego organu lokalnego dochodziło bowiem do konfliktu dwóch poetyk. Stara dziennikarska zasada mówi, że jeśli pies pogryzł człowieka, nie jest to powód do informacji, informacja byłaby gdyby stało się odwrotnie. Sensacja budowana jest na zasadzie katalogu odstępstw od normy, regularnego przebiegu zdarzeń, interesują ją wyłącznie największe (psy, koty, ludzie) i wyjątkowe (jak przeszczepienie dziadkowi serca wnuka) wydarzenia. Szewc, który robi buty oczywiście jest bezwartościowy, chyba że zrobi całkowicie bezwartościowe, ale za to największe na świecie buty dla olbrzyma. Natomiast poetyka informacji krajowej od lat usiłowała wbrew gazetowej zasadzie sensacyjności forsować normę: informowano właśnie o tym, że na przykład Zakłady „Radoskór” wciąż robią buty a Zakłady im. 22 Lipca produkują czekoladę (na rynek krajowy i na eksport). Obowiązywał bowiem srogi racjonalizm, a z gazety płynąć miał wniosek, że wszystko toczy się s w o i m trybem. Donoszono więc nieustannie, że zakłady mleczarskie produkują mleko (i jego przetwory), a ceramiczne — ceramikę (oczywiście „w bogatym wyborze”), co było również formą honorowania pracowników różnych pożytecznych gałęzi gospodarki, pozostałością jeszcze z lat pięćdziesiątych. Do czytelnika apelować powinna właśnie uspokajająca regularność, co było jeszcze jednym objawem „paranoi” rozwiniętej.

Tymczasem sensacja nie jest w gazecie czymś wyjątkowym, jej reguły można rozciągnąć na całą poetykę gazety: donosi się o czymś, gdy jest to albo nowe, albo niezwykle, szczególnie złe lub szczególnie dobre, na przykład właśnie coś wybuchło, bądź wyprodukowano coś rewelacyjnego czy też coś chyli się ku bliskiemu upadkowi albo rozkwita nadspodziewanie. Oczywiście, gdy zakłady obuwnicze produkują czekoladę, a mleczarnia, powiedzmy, sposobi się do wytwarzania podzespołów elektronicznych — można o nich napisać. I tak zdarzało się również, bowiem wizja

⁹ Stało się to w październiku 1987.

¹⁰ „Głos Pomorza” z 5 maja 1987.

regularności i uporządkowania świata była niczym więcej jak próbą zamaskowania wszechotaczającego absurdu, dawno już rozpoznanego przez świadomość potoczną jako „paranoja”. Na przykład „Gazeta Współczesna” z kwietnia 1988, pod nagłówkiem „Proletariusze wszystkich krajów...” (dziennik PZPR odznaczony orderem „Sztandaru Pracy”) przyniosła wiadomość, że Zakłady Rybne w Giżycku, podlegające służbowo pod resort Komunikacji, przerabiają śledzie i zdementowała optymistyczne podejrzenie, jakoby udało się wyhodować, przy pomocy krzyżówek, gatunek śledzia jeziornego, mazurskiego.

Poetyka gazety z natury przewiduje pewną dozę histeryczności w swoim nastawieniu na to, co nadmierne, nadzwyczajne i dziwne. Tymczasem wymogi polityki propagandowej wymagały stale postępowania niezgodnego z tymi regułami, preferowania regularności i normy w celu przeciwstawienia się dominującemu w społeczeństwie poczuciu absurdu i rozpoznaniu rzeczywistości jako serii aberracji, preferowanemu przez świadomość potoczną. W latach osiemdziesiątych oficjalną wykładnią interpretacyjną popularyzowaną — ale bez oszałamiających sukcesów, przez prasę można by określić tak: „co prawda nie jest dobrze, ale są pewne symptomy, że być może zmienia się na trochę lepsze”, co w porównaniu z ofensywnością propagandy o dekadę wcześniejszej, gdy wszystko zdecydowanie zmieniało się na coraz lepsze i doganiało światową czołówkę wypada uznać za przejaw pewnego liczenia się z realiami. Trzeba tu jednak i wyrazić żal: gazety lat osiemdziesiątych, ostrożne i jakby nawet trwożliwe nie były już natchnieniem poezji! Ich wykorzystanie takie jak we wczesnych tekstach Barańczaka czy w słynnym utworze Lecha Dymarskiego *Nasze lokomotywy są coraz lepsze* przestało być możliwe.

Pozornie zmieniło się tak niewiele. W 1971 roku Ryszard Krynicki napisał wiersz *Nowa pasza* na podstawie autentycznej notatki prasowej o tym, że gazety „zmieszane z witaminami, soją itp.”¹¹ mogą stać się pożywieniem dla krów. Wyraźnie zafascynowała go wizja krowy unicestwiającej narzędzie kłamstwa. Obraz ten miał wielką siłę przyciągania, notatkę tę z innego źródła przytacza również w swoim dzienniku Jerzy Andrzejewski określając to jako „wynalazek bulwersujący wyobraźnię”:

Przerabianie papieru gazetowego na karmę dla bydła polega na rozmożeniu go na papkę. Następnie na papce tej rozsiewa się zarodniki pewnych grzybków. Na przerobienie jednej partii już rozmożonych gazet na paszę wystarczają 24 godziny¹².

¹¹ R. Krynicki, *Nowa pasza, Niepodlegli nicości*, Nowa 1988, s. 30.

¹² J. Andrzejewski, *Z dnia na dzień*, t. 1, Warszawa 1988, s. 53, na podstawie „Ekspresu Wieczornego”.

Krynicky sugerował nawet, że być może stanie się to przyczynkiem do rozwiązania także problemu telewizorów, czołgów i hut żelaza. W latach osiemdziesiątych następuje wyraźne przesunięcie akcentów, przede wszystkim więcej myśli się o zwierzętach, do tej pory traktowanych dość, trzeba przyznać — instrumentalnie. Wyobraźnia podsuwa katastrofalny obraz skutków takiej diety, ale i sama wizja przeznaczenia wszystkich gazet na pożarcie klóci się z rozwojem ich rozumienia. Metody lektury stały się dużo bardziej wysublimowane i powoli okazywało się, że sama gazeta może być w naturalny sposób poetycka, zdradzając skłonności surrealne.

W latach osiemdziesiątych publicystykę opanowała składnia „tak — ale”: mamy duże zanieczyszczenie środowiska (tu trochę dość katastroficznych liczb), ale właśnie powstaje program ograniczenia emisji, albo: szerzy się (albo lepiej — czai pod ladą) salmonella, ale podjęto już stosowne decyzje administracyjne. Ogólna teza propagandy była dość skromna: co prawda jest źle, ale będzie trochę lepiej, a poza tym inaczej być nie może. Taka ideologia, której mocny początek widzę w interpretacji wprowadzenia stanu wojennego obowiązywała do 1989 roku, a częściowo trwa i do dzisiaj, siłą inercji i z braku lepszych pomysłów. Coś w rodzaju rozłożenia rąk: trudno t a k i e jest życie — szare, dość nudne i ciężkie. Ale jednocześnie ta część informacji, której nie obowiązywały trendy ideologiczne i wykładnie kontrolowane zajmowała się udowadnianiem, że życie t a k i e nie jest, a zupełnie inne! Tyle, że najczęściej toczy się ono gdzie indziej, daleko od nas. Czasem to dobrze, bo na przykład tygrysy ussuryjskie nie spacerują po naszych ulicach, ale czasem źle: nasze koty nie mają szans na zatrudnienie w siedzibie premiera — jak niejaki Orlando, którego kandydaturę rozważała pani Thatcher. Polska sensacja zawsze skupiona była głównie wokół smutnych nałogów: pewien pan w Olsztynie zgłosił się sam do izby wytrzeźwień z obawy przed żoną¹³, a przed aptekami zaobserwowano kolejki czekające już przed otwarciem po tanie preparaty na spirytusie (krople miętowe, wyciąg z jemioli, azulan, nervosol).

Dalsze przemilczanie sprawy do niczego nie prowadzi, a przeciwnie, można się obawiać, że niebawem wokół aptek będą się gromadzić takie grupki towarzyskie, jak wokół budek z piwem — przewidywał „Sztandar Ludu”¹⁴.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że prasa stała się zupełnie niepoetycka. Jej wykorzystanie wymagałoby jednak typu wyobraźni surrealnejszej, podczas gdy lingwistyczna wrażliwość poezji Nowej Fali

¹³ „Gazeta Olsztyńska”, 2 października 1987.

¹⁴ „Sztandar Ludu”, 19 listopada 1987, artykuł: *Do apteki na nalewkę*.

reagowała na nowomowę, na czysto językową atrakcyjność mechanizmu propagandy. W latach osiemdziesiątych perswazja przybrała inne formy — na dodatek niekonsekwentne. Gazeta bowiem nie może uciec od swojej funkcji zasadniczej: informowania, co się stało nowego i niezwykłego, a niezwykle zaczyna pożerać obraz rzeczywistości jako realizacji całkowicie racjonalnych i wykluczających wszelką fantazję smutnych praw jak to, że co jest — być musi. Nie musi i nie było tak, zwłaszcza wtedy.

Myślę, że w natężeniu walki między racjonalnością a aberracją w świecie „paranoi” wyrażał się najpełniej duch czasów absurdałnych, którego możemy też nazwać Duchem Straconego Czasu (na naprawianie nienaprawialnego). Najpełniej stan ten rozpoznała i wyraziła P o m a r a n i c z o w a A l t e r n a t y w a, ale mam dowody, że było to dość powszechne. Na przykład Tadeusz Komendant, ostatnio surowy krytyk „Tekstów Drugich”¹⁵, a zwłaszcza ich okładki, w roku 1987 nie rozstawał się prawie z wyjątkowo okropnymi w smaku, ale odpowiadającymi jego nastrojowi, czekoladkami „Druga Młodość w polowie kakaowej”, wyprodukowanymi z okazji 40-lecia SPPS „Wrocławianka” i tak się przyzwyczaił do ich estetyki, że trudno mu się pogodzić z czymś, co nie kontynuuje tej linii. Z czytania prasy zawsze, także w czasach absurdałnych, wynikały wielorakie pożytki. Nawet z najnudniejszej gazety da się coś wykrzesać. Wyostrenie poczucia absurdu jest niewątpliwą zasługą lat osiemdziesiątych, a to jest nowa jakość, zdobycz świadomości, jaką zawdzięcza ona nałogowi, który nie musi być naganny. Walka dwóch aberracji pogłębiła wrażliwość na elementy surrealne w życiu. Między tymi, którzy startowali pod hasłem „prasa kłamie”, a tymi — którzy nauczyli się bawić dziwacznością jej stylów reagowania jest różnica pokolenia. Natomiast przyszłość jest, jak zwykle, niepewna i niewiadoma.

¹⁵ „Tygodnik Literacki” 1990, nr 3.